



Stefan Grabiński

WYSPA ITONGO

powieść fantastyczna

Wyspa Itongo

Stefan Grabiński

Wyspa Itongo

powieść fantastyczna

Armoryka

Redaktor tomu: Marta Sarwa
Projekt okładki: Juliusz Susak

© Wydawnictwo ARMORYKA 2016

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-189-1

CZEŚĆ PIERWSZA. SYN KOWAŁA

W BAŃKOWEJ WOLI

Stał dom w czystym polu, u skrzyżowania zapomnianych dróg; jedna i nich gubiła się gdzieś w bezkresnej, wrzosem i mątwą pastewną poszytej równinie, druga, co tamtą skosem przekreślała, zwężała się opodal w ścieżynę i przepadała w chaszczach, które drapieźną osadą rozsiadły się po tamtej, zachodowi słońca bliższej stronie. Nikt tu lata całe nie zaglądał; najbliższe osiedle oddalone było o dziesięć mil.

Odludność miejsca potęgowała cisza: doskonała cisza zaklętego od wieków pustkowie. Nawet czarne zbory kruków i wron zlatujących tu jesienią i zimą na doroczne zimowiska odbywały się w głuchej, niezmaconej krakaniem ciszy. Czasem tylko wiosenną lub letnią porą przeszedł mimo zapędzony tu przez przypadek włóczęga, lub zaskrzypiało koło zabłąkanego w obcej stronie wozu. Nikt się nie kwapił do Bańkowej Woli, tego skrawu pustej, jałowej okolicy z równie pustym, od wieków nie zamieszkałym przez nikogo domem, co stał samotny, opuszczony przez Boga i ludzi pomiędzy ramionami niepotrzebnych dróg.

Dom ten i jego otoczenie miały złą, od niepamiętnych czasów ustaloną sławę. Bańkowa Wola należała do tych

nielicznych, rozprószonych po ziemi miejsc, na których zdaje się ciążyć klątwa boża czy znamię szatana.

Dom był niewielki, parterowy, kryty gontami. Czarny jak smoła dach jego, zachodzący na okna nad miarę wydłużonymi okapami, łamał się barwami żałoby z trupio białymi, wyzierającymi spoza żywopłotu ścianami. Gdy zmierzch zacierał linie i kontury, domostwo wyglądało z daleka jak wielka, śmiertelnie schorzała twarz, wypatrująca świat osowiałymi oczyma. Czasem w godzinach wieczornych, chociaż w pustym wnętrzu nie było żywej duszy, dymiło z komina; gęste, bure kłęby wysiadały z otworu szczytowego i staczały się leniwymi runami z dachu w ogród. Jesienną porą wiatr hulał po otwartych na przestrzał izbach, zawodził w wąskiej, wydłużonej sieni i trzaskał z pasją drzwiami. W jasne miesięczne noce dochodziło z wnętrza kwilenie niemowlęcia lub przeciągły, rozdzierający serce krzyk kobiety. W długie zimowe wieczory przesuwały się poza szybami okien jakieś mgliste, rozwiane w zarysach postacie, wyłaniały się z głębi, przystawały na progu lub korowodem widm tułały się po pustym ogrodzie wśród chochołów drzew.

Kiedy indziej pod jednym z okien słychać było wyęzoną pracę: ktoś kopał zajadle ziemię i wyrzucał ją rydlem z głębokiego dołu. Nieraz meły noc całą żarna w opustoszałej, pozbawionej wszelkich sprzętów gospodarskich kuchni.

Ogród rozciągający się dookoła domu był dziki i zapuszczony. Pogarbione od starości jabłonie i śliwy, niepielęgowane od lat przez nikogo, wypłonnały do szczytu lub rodziły owoce cierpkie, nie do użytku. Poznikały do niepoznaki ścieżki zarośnięte na głucho pokrzywą, piołunem i chwastem; w cieniu drzew rozpleniły się jadowita dziędzierzawa, diabelski lulek i szalej, pasoży-

towały niesamowity pokrzyk, tojad, blekot i czartopłoch.

– W upalne dnię lata unosiły się od tych zielsk wonie gryzące i zjadliwe, jakby ostrzegając przechodnia przed odwiedzaniem przeklętej sadyby.

Gdy jesienny mrok zarzucał na ziemię płachty cieni i szedł przez pola krokami śniadego olbrzyma, drzemiąca przez dzień dusza ogrodu ożywała: odzywały się szepty, westchnienia, czyjeś prośby, zaklęcia, rozlegały się odgłosy ciężkich kroków, to znów szelest ostrożnego stąpania lub nagły, głuchy stęk upadającego ciała.

Niekiedy czar przenosił się poza obręb domu i ogrodu i opanowywał najbliższe ich otoczenie. Wtedy przeciągały o północy na rozstajnych drogach upiorne procesje. Na czele szedł jakiś człowiek na szczudłach, trzymając w ręce zamiast krzyża osmolony ożóg, za nim postać przypominająca księdza w ornacie z wizerunkiem szubienicy na plecach, a dalej rzesza widm z gromnicami odwróconymi w dół płomieniem.

Orszak pojawiał się nagle na krzyżownicy dróg, okrężał dom wśród żałobnych pieśni i antyfon i szczał również nagle i niespodzianie w skrajnym polu po drugiej stronie. Gdy procesja mijała furtę wchód ową od ogrodu, celebrujący podnosił ku domowi rękę i kreślił nad nim znak krzyża, lecz w kierunku odwróconym, zaczynając od dołu. Wtedy z wnętrza odpowiadała mu piekielna wrzawa zmieszanych głosów męskich i kobiecych, nad którymi górował szeroki, urągliwy, rechocący śmiech. Po chwili wszystko milkło, światła gasły i dom zanurzał się znów w senną ciszę pustkowiea...

W któryś dżdżysty, jesienny wieczór sprowadził do Bańkowej Woli dziwny traf dwoje ludzi. Wśród największej ulewy wszedł do sieni domu młody, w myśliwski strój odziany mężczyzna. Skwapliwie zatrzasnął za sobą drzwi, zrzucił ociekającą deszczem gumową kurtkę, odstawił strzelbę i przyciskając palcem guzik elektrycznej latarki, zaczął rozglądać się po otoczeniu.

– Opuszczona chałupa – mruknął, ogarniając spojrzeniem cztery izby, których wnętrza poprzez otwarte na oścież drzwi świeciły bezwzględna pustką. – Jak wymiół! Ani żywej duszy. A co za wściekły przeciąg! Mało głowy nie urwie.

I starannie pozamykał okna.

– A może tu ktoś umarł na zakaźną chorobę? – zrodziło się podejrzliwe przypuszczenie. – W takim razie wpadłem z deszczu pod rynnę... Ha, trudno – nie ma wyboru, dobry i taki nocleg.

Obszedł po kolei puste izby.

– Co za dojmujący chłód!

Zatrząsał się od zimna.

– Choć psy gonić! Jak tu spać w tej psiarni i na czym? Ani kloca pod głowę. A co będzie, gdy latarka odmówi posłuszeństwa?

Perspektywa spędzenia nocy w ciemnościach przy kilku stopniach powyżej zera nie uśmiechała mu się wcale. Widok pieca w jednej z izb ze szczątkami zwęglonego polana wywołał ponętny miraż płonącego rzeźko ogniska.

– Trzeba stanowczo zdobyć opał.

Odtworzył w pamięci powykręcane kontury drzew majaczące w jesiennym zmierzchu dookoła domu. Ubrał z powrotem kurtkę i rozświecając sobie drogę latarką, wyszedł tylnymi drzwiami w ogród. Nie zawiódł się: po

chwili wracał już z pękiem chrustu i suchych gałęzi; rzucił zdobycz w kąt pod drzwiami i powtórzył wyprawę kilkakrotnie. Wkrótce piętrzył się w sieni okazały stos paliwa.

– A teraz zapalimy w „sypialni”.

Wyjął z kieszeni gazetę, rozpostarł na ruszcie pieca, narzucił chrustu i podpalił zapalniczką. Buchnął płomień i zahaczało w kominie. Myśliwy zgasił latarkę i przy blasku ogniska przeniósł cały zapas suszu do izby. Niebawem odczuł błogie skutki ciepła. Zrzucił kurtkę, podsunął ją sobie pod głowę i jak długi wyciągnął się na podłodze obok pieca. W czerwonym świetle paleniska wystąpiły ostro jego męskie, energiczne rysy ożywione parą siwych, sokolich oczu. Podłożył ręce pod głowę, wlepił spojrzenie w powałę i odpoczywał.

Było mu dobrze. Zmordowany całodzienną włóczęgą po lasach, na pół skostniały od jesiennego chłodu, umiał ocenić błogosławiony wpływ ognia i zamkniętej, chroniącej przed deszczem i zimnem przestrzeni. Twarde, pyłem lat okryte deski podłogi wydały się miękką pościelą, a brudna, pusta izba najwygodniejszą w świecie sypialną. Na dworze zawodził luto październikowy wiatr, na szybach łzawiły paciorki dżdżu, w starym, wapnem na biało powleczonym piecu buzował wesoły ogień i wywabiał na ścianach kosmate cienie, a w kącie ćwierkał samotny świerszcz – Dobrze było...

W sieni odezwały się niepewne, skradające się kroki. Podniósł się i zaczął nasłuchiwać. Ktoś zapukał do drzwi nieśmiało.

– Proszę wejść – zachęcił „gospodarz”.

Drzwi odchyliły się i w progu stanęła młoda, niezwyklej urody kobieta. Z sobolowej jej świtki i kołpaczka spływała strugami woda.

Mężczyzna zerwał się z podłogi i gestem zaprosił do wnętrza. Na twarzy pięknej pani odbiło się wahanie. Spojrzała mu badawczo w oczy. On uśmiechnął się.

– Ryszard Krzepniewski, ziemianin z Radłowa, do usług – przedstawił się. – Cóż począć, szanowna pani! Jest się czasem zdany na łaskę i niełaskę szczególnego zbiegu okoliczności. Zresztą, pochlebiam sobie, trafiła pani na gentlemana i jeżeli nie ma pani na razie innego schroniska, gotów jestem podzielić się z nią tym lokalem.

Odpowiedziało mu wdzięczne, zabarwione mimowolną zalotnością spojrzenie słodkich, czarnych oczu.

– Dziękuję panu za ułatwienie mi sytuacji. Rzeczywiście położenie chwilowo bez wyjścia. Skorzystam z pańskiej gościnności, dopóki nie ustanie ta okropna ulewa.

– Radziłbym zdjąć świtkę; jest gruntownie przemoczona. Pozwoli pani, że jej w tym pomogę.

Milcząco usłuchała rady i oddała mu narzutkę do rozwieszenia przy piecu. W blaskach płomieni rzucanych przez ognisko wystąpiła plastyka jej bujnej krasy; była rasową brunetką o kuszącej linii bioder i biustu. Pełna dyskretnej elegancji suknia uwydatniała harmonijność i bogactwo jej kształtów.

Rozejrzała się po izbie zdumiona.

– Pan tu mieszka?

Roześmiał się, ukazując rząd zdrowych, trochę dra pieżnych zębów.

– Co za kapitalne przypuszczenie! Ja w tej norze? Nic podobnego. Jestem w tej gospodzie podobnie przypadkowym gościem jak pani. Schroniłem się do tego odludnego domu przed deszczem. Padłem ofiarą myśliwskiej namiętności. Zaproszony na polowanie w okolicy zupełnie mi obce, odłączyłem się nieopatrznie w pościgu za

zranionym przeze mnie dzikiem od reszty towarzystwa i zabłądziłem bez wyjścia w dzikiej kniei. Po całodzienniej tułaczce, już o zmroku, wydostałem się na jakieś pustkowie, na którego krańcach majaczyła ta samotna zagroda. Rad nierad, zziębnięty i przemoczony, postanowiłem tu przenocować. – Dom zdaje się bezpieczny i prawdopodobnie stoi pustką już od dawna. Jedyna przystań dla zbłąkanych.

Kobieta patrzyła zamyślona w rozjarzoną czeluść pieca.

– Szczególny zbieg okoliczności – mówiła zapatrzona w ogień – kazał nam obojgu zawinąć do tej samej odludnej przystani. Bo i ja również zabłądziłam w okolicę zupełnie mi nieznaną. Brzmi to trochę fantastycznie, lecz jest szczerą prawdą. Dziś rano przyjechałam w te strony z miejscowości bardzo odległej i wysiadłam z pociągu na przystanku oddalonym stąd zapewne kilka lub nawet kilkanaście mil. Koło budynku stacyjnego oczekiwała mnie już bryczka. Wsiadłam, nie przeczuwając nic złego. W drodze, gdzieś na dziesiątym kilometrze, w głębi lasu nagle konie spłoszone z niewiadomej przyczyny zaczęły ponosić. Woźnica zdaje się pijany, nie umiał opanować sytuacji i zwalił się w rów. Pojazd w szalonym pędzie potoczył się dalej w zaułki leśne. Byłam bezsilna i na pół przytomna dałam się ponosić rozhukanym koniom. Po kilkugodzinnej wariackiej galopadzie wśród komyszy boru oszalałe ze strachu zwierzęta, porwawszy szory i popręgi, popędziły na oślep w głąb lasu, pozostawiając mnie omdlałą na dnie pudła wozowego. Gdy odzyskałam przytomność, słońce już chyliło się ku zachodowi. Byłam sama w sercu puszczy. Przerażona wyskoczyłam z na pół rozwalonej bryczki i zaczęłam biec, na chybi trafi, w kierunku zachodzącego słońca. Tymczasem ściemniło

się i zaczął padać ulewny deszcz. Goniąc resztkami sił, wypadłam z boru na jakąś pustą, zarosłą wrzosem równinę i już w mroku dotarłam do tego domu. – Blask ognia bijący z okien wskazywał mi z daleka drogę. Nie miałam innego wyjścia i zakołatałam do tych drzwi.

– Jak w bajce – rzekł Krzepniewski, gdy zmęczona opowiadaniem zamilkła i wpatrywała się w ogień.

– Pozwoli pan – podjęła po chwili, nie patrząc mu w oczy – że zachowam swe incognito. Niech panu wystarczy informacja, że jestem zamężną i że mi na imię Wanda.

– Potrafię uszanować wolę pani.

– Dziękuję.

– Ale, ale! Byłbym kompletnie zapomniał, żeśmy dotychczas nie jedli kolacji. A jestem już porządnie głodny. Pozwoli pani, że ją przyjmę u siebie. Czym chata bogata, tym rada.

Uśmiechnęła się.

– Odkrył pan tu gdzie spiżarnię? Cudza własność – rzecz święta.

– Proszę być o to spokojną. Jak mędrzec starożytny, wszystko swoje ze sobą noszę. Mam jeszcze zapasy w mojej myśliwskiej tajstrze. Podzielimy się nimi, jak przystało na towarzyszy niedoli. Mam też trochę wina w manierce.

– Jak widzę, wyekwipował się pan należycie przed wyprawą.

– A tak, wzięło się coś niecoś na wszelki wypadek.

I zaczął rozkładać na oknie wiktuały.

– Najfatalniejsza rzecz, że nie mamy stołu ani krzesel.

– Zdaje mi się, zauważyłam w sieni coś w rodzaju pieńka do rąbania polan.

– Tak? To doskonale! Zaraz go tu przytoczymy.

Wybiegł do sieni i przy odbłasku ognia wsączającego się skąpą wiązką promieni przez otwarte drzwi zaczął szukać w półmroku.

– Jest! – zawołał tryumfalnie i wniósł do izby barczysty klocek dębowy. – Krzesło by było. Może pani usiądzie?

– A pan?

– Mnie pozwoli pani rozłożyć się obozem u jej stóp.

Przyniósł prowianty z okna i wyciągnął się na podłodze, opierając ramieniem o pień.

– Proszę zająć się łaskawie podziałem środków żywności; tylko sprawiedliwie, bardzo proszę – dodał, spostrzegłszy, że co lepsze kaski przeznacza dla niego.

– Mamy jeszcze w odwodzie puszkę sardynek. Zaraz otworzę.

Przy pomocy klucza odwinął blaszaną przykrywkę.

– Trzeba to zapić winem.

Podał jej pękata, skórą obszytą manierkę z kubkiem wkręconym na szyjce.

– Tokaj? – zapytała, nalewając ostrożnie.

– Tak.

– Wyborny! Od razu czuje się dobrą, starą markę.

– I dlatego wypila pani tylko do połowy?

– Połowę zostawiłam dla pana. Może się pan mnie brzydzi?

Popatrzyła mu filuternie w oczy.

Wychylił duszkiem resztę.

– Będę znał myśli pani – przekomarzał się, patrząc w jej urodziwą twarz. – Tak przynajmniej mówią, gdy się pije z jednego kieliszka.

Oddała mu spojrzenie.

– A bardzo pan ich ciekaw?

Chciał coś odpowiedzieć, gdy wstrzymała go gestem ręki.

– Pst! Czy nic pan nie słyszał tam, w sieni?

Powstał niechętnie i zaczął nadśłuchiwać.

– Zdawało się pani – uspokoił ją po kilku sekundach.

– To wiatr wałęsa się dookoła domu.

– Trzeba zaryglować na wszelki wypadek drzwi w sieniach.

Włożył do ognia kawałek odłamanej gałęzi, zapalił i przyświecając nią sobie, wyszedł w korytarz. Przy drzwiach nie było zasuwek, tylko zwykle, mocno już nadgryzione przez rdzę zakrętki. Umocnił je we wlotach i zakręcił. Potem wrócił do izby.

– Proszę być spokojną. Ani żywej duszy. Drzwi zakręciłem.

Pani Wanda dorzuciła do ognia chrustu.

– Ciekawa jestem, która też godzina. Musi być już późno, bo czuję ogromną senność.

– Dwunasta minęła. Rozścielę pani moją kurtkę na podłozę; za poduszkę musi wystarczyć pani pęk gałęzi przykryty jej świtką.

– A pan?

– Będę drzemał oparty o ten klocek i podtrzymywał ten znicz domowy.

– Ładna perspektywa!

– Cóż robić? Bywają gorsze sytuacje. Czyśmy nie młodzi?

Ogarnął ją oczyma adoracji. Rozmowę przerwał tym razsm wyraźny odgłos kroków. Ktoś chodził po sieni. Pani Wanda odruchowo chwyciła rękę Krzepniewskiego.

– A teraz słyszał pan?

– Słyszałem. Ktoś widocznie przed nami wszedł do domu, ukrył się w jednej z izb po drugiej stronie i teraz łązi po sieni.

– Może to gospodarz tej rudery?

– W takim razie nie miałyby powodu ukrywać się przed nami i śmiało wszedłby tutaj. Musimy to zaraz wyjaśnić. Pozwoli pani, że wyjdę do sieni – rzekł, łagodnie uwalniając rękę z jej kurczowego uścisku.

– Tylko proszę nie wychodzić poza obręb domu; nie chciałabym zostać samą w tej izbie. Boję się czegoś. O! Słyszysz pan? Wciąż chodzi. Co za ciężki, wlokący się chód...

Rzeczywiście słyhać było za drzwiami człapiące kroki kogoś jakby obutego w drewniane chodaki.

– Kto tu, do licha? – krzyknął Krzepniewski, otwierając gwałtownie drzwi i wżerając się oczyma w mroczną przestrzeń sieni.

Kroki umilkły. Krzepniewski puścił snop światła z elektrycznej latarki wzdłuż kurytarza... Nie odkrył nikogo.

– Proszę wrócić tu do mnie – usłyszał za sobą szept pani Wandy. – Boję się...

– Muszę zbadać drugą stronę domu; może tam ukrył się nieproszony gość.

– Nie, nie! – sprzeciwiła się przerażona – nie mogę tu zostać sama ani na chwilę.

– Więc może odbędziemy tę rewię we dwójkę – zaproponował, nadając słowom ton żartobliwy. – Proszę nie być dzieckiem; taka duża, piękna pani.

– Owszem. Na to się zgadzam.

I wyszedłszy w sieni, uchwyciła się mocno jego ramienia.

– Teraz mi raźniej.

Obrzucił drzwi wchodowe i tylne, od ogrodu, stożkiem elektrycznego światła.

– Zakrętki na swoim miejscu – stwierdził. – Więc ptaszek jeszcze nie wyfrunął. Na pewno znajdziemy go w jednej z izb naprzeciw.

– Ma pan broń przy sobie? Może być potrzebna.

Krzepniewski skierował spojrzenie na fuzję swoją w kącie sieni.

– Nabita?

– Oczywiście. Lecz wolę jej nie używać. Mam tu coś lepszego.

Wskazał na kolbę rewolweru, wychylającą mu się z olstra u lewego boku.

– Proszę mieć go na wszelki wypadek w pogotowiu.

– Jak pani uważa – zgodził się i wziął broń do ręki.

– A teraz naprzód!

Otworzył drzwi wiodące do pierwszego pokoju po lewej i wszedł z ociągającą się kobietą.

– Kto tu? – zapytał ponownie.

Odpowiedział piekielny hałas w sąsiedniej izbie. Światło latarki puszczone w obieg po ścianach i podłodze oświeciło puste wnętrze. Z wyciągniętym do strzału browningiem przeszedł Krzepniewski do drugiej izby. Lecz i tu nie zastał nikogo. Przez drzwi w głębi wydostał się z powrotem w sień. Drzwi z obu stron były zamknięte jak przedtem, na zakrętki. Wtedy kobieta przytuliła się do mężczyzny drżąca i blada.

– Tu coś straszy. To jakiś przeklęty dom. Uciekajmy stąd!

Odezwał się przewlekły jęk jesiennego wichru i szum ulewy.

– Dokąd? W tę zawieruchę? Musimy przenocować tu do rana.

Milcząc, poddała się tej decyzji. Wrócili do „swojej” izby. Krzepniewski dorzucił suchych gałęzi do ognia, który buchnął jasnym płomieniem i rozświetlił znów zmroczone już wnętrze.

– Może pani trochę odpocznie.

Rozścielił na podłodze swą kurtkę.

– Jest pani znużona przejściami tego dziwnego dla nas obojga dnia.

– Spróbuję, chociaż wątpię, czy mi się uda zasnąć w tych warunkach.

Złożyła w dwoje swą świtkę, umieściła na pęku chru-
stu niby poduszkę i położyła się na jego kurtce twarzą ku
ogniowi.

– Proszę usiąść tu przy mnie – poprosiła. – Będę czu-
ła się bezpieczniejsza i może prędzej zasnę.

Spełnił życzenie i przytoczywszy pień do posłania,
usiadł, ujmując jej rękę w swe dłonie.

– Tak dobrze – powiedziała i przysłoniła oczy ocięża-
łymi od senności powiekami. – Straszne ze mnie jeszcze
dziecko i bojahuz, nieprawdaż?

– Jest pani słodką, prześliczną kobietą – odpowie-
dział, pieszcząc bezwładną jej rękę.

– Co? Komplementy? Proszę się nie zapominać
– broniła się resztkami osłabionej przez zmęczenie
i emocje woli. Cofnęła rękę i wsparłszy głowę na łokciu,
spojrzała w stronę drzwi.

– Chciałem tylko panią uspokoić – usprawiedliwił
się. – Czy wolno mi zapalić papierosa?

– Ależ proszę bardzo.

Gdy wyciągnął papierośnicę i pocierał zapałkę, uczył,
jak chwyciła go nerwowo za ramię.

– Niech pan spojrzy na drzwi, na klucz.

Krzepniewski popatrzył i zauważył, jak duży, tkwiący w zamku od strony wewnętrznej klucz powoli obrócił się od prawej ku lewej.

– Wiatr, przeciąg czy co, u licha? – mruknął i powstawszy, próbował przeskodzić dalszemu obrotowi.

Lecz nie udało mu się. Jakaś moc silniejsza od niego przekreśliła klucz o kąt pełny i z trzaskiem wrzuciła go w zamek.

– Jesteśmy uwięzieni – szepnęła Wanda. – Dlaczego nie uciekliśmy z tego przeklętego miejsca?

– Proszę się uspokoić. Przecież klucz tkwi w zamku po naszej stronie. Mogę drzwi w każdej chwili otworzyć.

I próbował wprowadzić w czyn to, co powiedział. Lecz wszelkie wysiłki okazały się bezskutecznymi. Klucz ani drgnął. Więc chwycił za klamkę i chciał otworzyć drzwi przemocą. Nie dały się.

– Głupio śmieszna historia – rzekł zniechęcony i powrócił do pani Wandy. – W ostatecznym razie możemy wyjść przez okno. – Lecz co za sztubackie kawały!

– Nie mów pan tak, nie mów pan tak! – prosiła. – Po co prowokować?

W tej chwili drzwi powoli otworzyły się do połowy. Krzepniewski wściekły pchnął je na oścież i na oślep oddał w głąb sieni trzy strzały. W odpowiedzi usłyszał nad tobą, gdzieś w górze, gruby, ordynarny śmiech i okrzyk Wandy. Rzucił się w drugi koniec sieni z latarką. Tu spostrzegł schody na pięterko. Bez namysłu zaczął się wspinać na górę, skąd dochodziły go wciąż salwy śmiechu. Gdy dotarł do końca i wyważył nogą drzwi od poddasza, wszystko nagle umilkło. Przy świetle latarki ujrzął mały, zasnuty pajęczą przędzą, zawalony szczątkami sprzętów, obręczami od beczek i wiórami heblowin pokoik. Nie było w nim nikogo. Klnąc i szarpiąc nerwowo wąsy, ze-

szedł pośpiesznie w dół i wrócił do izby. Tu spostrzegł, że Wanda zemdlała. Podważył jej nożem myśliwskim zęby, wlał w usta parę kropel wina. Westchnęła, otworzyła oczy i objąwszy go kurczowo ramionami za szyję, przytuliła się do niego z całej siły. Piersią jej zaczęło wstrząsać ciche łkanie, usta szukały ust jego stęsknione.

I tak na rubieży lęku przed nieznanym i pożądania, między krasnotą życia a omroczą „tamtego brzegu” oddała mu się. Mgła szalu przesłoniła im oczy i odgrodziła purpurową kotarą od złych dziwów domu. Udzielali się sobie w słodkim zapamiętaniu, głusi i ślepi na wszystko, co się wokoło nich działo. Nasycali wzajemnie pragnienia ciał swych młodych i zdrowych, obojętni na otoczenie, na miejsce swych godów, na świat cały. Mężczyzna i kobieta! On i ona!

W naiwnej, dziecięcej niewiedzy spełniali wolę ciemnych przeznaczeń, które sprowadziły ich oboje do tej dziwnej izby na godzinę miłosnego aktu. W ekstazie upojenia nie widzieli widmowych twarzy, które nachylały się nad nimi z enigmatycznym uśmiechem masek i śledziły miłosną ich sprawę, nie słyszeli wkoło siebie tajemniczych głosów i szeptów. Spleceni w małżeńskim uścisku, nie wiedzieli, że ziszczają tęsknoty „z tamtego brzegu”, że dzieło ich rozdrzanych dreszczem rozkoszy ciał jest czymś, na co tu czekano od lat, może od wieków...

Tak poczęło się dziecię, nad którym od kolebki zaciążyły moce zaświatów.

Nad ranem, po nocy grozy i szału mężczyzna i kobieta, których połączyła na chwilę chimera losu, rozeszli się, każde w swoją drogę, by nie spotkać się nigdy już więcej.

U KOWALA

W rok potem pani kowalowa Gniewoszowa z Królówki wyszedłszy ranną porą przed dom, by nakarmić kury wałęsające się o głódzie po podwórku, znalazła pod progiem swych drzwi podrzucone niemowlę. Dziecko może trzymiesięczne, ciche jakies i potulne, patrzyło na nią szeroko rozwartymi ciemnoniebieskimi oczyma, zdając się dziwować wielce światu i ludziom.

Pani Paulinie żal się go zrobiło okrutnie. Podjęła podrutka i zaniósła do izby.

– Biedactwo ty moje – przemawiała do zdumionego wciąż gościa. – Pewnieś głodne, co? Czym ja cię nakarmię? Cycić nie dam, bo nie mogę. Może z flaszki wydudlisz trochę mleczka?

Przytknęła do różowych usteczek szyjkę od butelki. Dziecko, poczuwszy na wargach słodki płyn, piło łapczywie.

– Maleństwo ty moje, a to cię wygłodziła wyrodna matka – oburzała się pani Gniewoszowa, powoli rozsznurowując powijaki. – Pi, pi! Co za bielizna! Batysty, koronki? Pewnikiem owoc grzechu jakiejś damulki z miasta. Rodzić nie sztuka, ale wychować! – Wszystkie one do siebie podobne, jedna w drugą, kubek w kubek... chłopiec!

Okrzyk końcowy, rezultat starannych oględzin, złał się w komiczny dwugłos z siarczystym zaklęciem pana majstra, który właśnie przekraczał próg świetlicy.

– Szymek! Pan Bóg wysłuchał mnie i dał nam syna. Śliczne dziecko! Popatrz ino, stary! Co?

Gniewosz spojrział na baraszkującego figlarnie na stole nogami malca i chociaż rozeźlony czymś mocno, od razu rozchmurzył się.

– Niczego, niczego – przyznał i zapytał oczyma.

– Dopiero co znalazłam pod naszym progiem.

– Aha! Podrzuciła jakaś miejska lafirynda. Pański bękart. Ha, trudno. Lepszy znajda niż nic. Boża w tym wola.

I nakreśliwszy nad dzieckiem znak krzyża, ucałował je ostrożnie w czoło, bacząc, by zaś nie zaczepić sumiastymi wąsiskami.

– Może niechrzczone? – rzuciła przypuszczenie kowalowa.

– Wszystko możliwe u tych miejskich drapichrustów. Damy go ochrzcić na wszelki wypadek i przyjmujemy za swego. Może się to przy nas uchowa.

Jak orzekli – zrobili i już nazajutrz w księgach metrykalnych królewieckich figurował nowy parafianin: Jan Gniewosz, syn Szymona, kowala, i Pauliny z Przednówek, jego małżonki.

A przydarzyło się to po raz pierwszy jakoś koło Wielkiej Nocy, gdy chłopiec kończył już rok piętnasty.

Roboty dnia tego w kuźni było co niemiara, ile że czas był poświęcony i wczesna wiosna sposobna do pracy w polu; raz w raz ktoś wpadał do hamerni i skom-

łał o możliwie szybkie podkucie konia, to o zrychtowanie popsutej brony lub o nabicie obręczy na koło. Toteż szcząkało w szopie od razów młotowych jak na diabelskim klepisku i sypało mietlicami iskier niby w samym sercu piekła. Czeladnicy, obnażeni po pas, ociekający potem, czarni od dymu i sadzy, uwijali się po kuźni niczym diabły, wyczarowując spod żelaznych stęporów złotoczerwone siklawy, tęcze i fontanny.

Właśnie majster obrabiał młotem parę rozżarzonych do białości podków, które mu Janek przytrzymał cęgami na kowadle, gdy zaczęło rzucać narzędziami i żelaziwem. Tak sobie ni z tego, ni z owego porwało coś nagle imadło leżące na stole i z furią miotnęło nim w przeciwny kąt pracowni. Szymon nie od razu zorientował się.

– Którego to z was, durnie – huknął – świerzbi skóra na grzbiecie?

Zanim mu ktoś zdążył odpowiedzieć, zafurkotała w powietrzu ciężka żelazna sztaba i z okropnym rumorem upadła na podłogę.

– Kie lichy?! – krzyknął majster i potoczył dokoła groźnym spojrzeniem.

Czeladnicy przerwali pracę i zdumieni spoglądali na siebie i kowala. Janek, przybrany syn kowalów, oparty o ścianę i jakby zasłuchany w przestrzeń, uśmiechał się nijako, półsennie.

– Czego szczerzysz zęby, hultaju? – wrzasnął ojciec, nie poiaadejąc się z gniewu.

Chłopak chciał coś odpowiedzieć i już zwracał ku rozsierzdzonemu twarz rozbudzoną nagle z zapamiętania, gdy coś wyrwało mu z rąk trzymane cęgi i śmignęło nimi tuż przed nosem kowala.

– Cholera! – zaklął stary. – To jakieś czarcie sztuki!

Rozpętane raz moce rozhulały się na dobre; w kuźni wszczął się zamęt nie do opisania: latały jak piłki od ściany do ściany heble i strugi, koziołkowały w powietrzu żelazne drągi i bloki, kręciły się w epileptycznych podrygach świdry i młoty. Powstał zgiełk i hałas tak wielki, że zwabił sąsiadów bliższych i dalszych i wkrótce pół wsi otoczyło kowalową zagrodę rozciekawioną gawiedzią. Majster i czeladnicy, cudem jakimś nieuszkodzeni i cali, uciekli w popłochu z nawiedzanej kuźni i wmieszani w tłum, śledzili wraz z innymi przebieg objawów, czekając ich końca. Lecz ten nie przyszedł tak rychło; godzinę przeszło trwała piekielna zabawa i dopiero pod zachód powoli uspokoiła się.

Gdy weszli znów do kuźni i rozglądnęli się po wnętrzu, ze zdziwieniem zastali wszystko w największym porządku. Narzędzia pracy i materiał do obróbki, wykonawszy wariacki taniec, powróciły potulnie na swoje miejsca. Cała awantura wydała się teraz Szymonowi złośliwym przywidzeniem.

– Hej, Kuba! – trącił w bok najbliższego pomocnika.
– Czy mi się to wszystko przyśniło, czy pałę załałem przed niedzielą?

– Zaśby tam, panie majstrze! Wszystko szczyra prawda.

– Hm... Widziałeś tę hecę na własne oczy?

– A juści.

– No a wy, reszta? – objął wzrokiem cały swój personel.

– Jak Bóg na niebie, prawda! – odpowiedzieli mu chórem. – Widzieliśmy od początku do końca.

– Ano, kiedy tak, to dalej do roboty! Trza dogonić stracony czas.

I znów zagrały żelazną pieśń kowadła i młoty...

Nazajutrz Janek kowalów leżał w izbie dzień cały błąd jak truchło i rozbity jak pogruchotany garniec. Skarżył się, że go wszystko boli i że czuje słabość w każdym członku, jak gdyby go ktoś tego wygrzmocił. Stary zasepił się i zgryzł tym niemało.

– Może ci przetrąciło kości wczoraj w szopie?

– Ej, nie, tatulu. Nie tknęło mnie nigdzie ani razu, dopokąd byli wszyscy razem pod dachem. A potem uciekłem stamtąd wraz z wami. To coś innego. Da Bóg, jutro przejdzie.

Jakoż przeszło. I nazajutrz Janek znów asystował ojcu przy kowadle.

Lecz wypuszczone raz z uwięzi siły odtąd co pewien czas dawały znać o sobie, jakby chciały zaznaczyć, że mają już do kuźni pewne prawa i że tu jak u siebie gazdują. Dom kowala w krótkim czasie zasłynął w okolicy z powodu tych hałasów i stał się celem częstych pielgrzymek spragnionej cudowności gawiedzi. Szymon Gniewosz nie bardzo był rad tym ustawicznym nagabywaniami, gdyż przeszkadzały w pracy, a nie przynosiły najmniejszego pożytku. Tak upłynęło lat parę.

Aż pewnego dnia przybyło z wizytą kilku elegancików i bardzo poważnie wyglądających panów z miasta. Jeden z nich, zdaje się kierownik wyprawy, przedstawił Gniewoszowi najpierw swoich kolegów jako lekarzy psychiatrów z Warszawy, a następnie siebie jako dyrektora kliniki chorób nerwowych na Żoliborzu.

Nazywał się dr Będziński i przybył tu w charakterze naczelnika komisji psychiatrycznej dla zbadania niezwykłych fenomenów, których sława dotarła aż do stolicy.

SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA. SYN KOWAŁA 5

W Bańkowej Woli 5

U kowala 20

Tajemnica opuszczonej zagrody 27

Krystyna 38

Bunt 58

CZĘŚĆ DRUGA. KRÓL CZANDAURA 85

Ostatnia wola Atalangi 85

Pogrzeb 108

Itonguar 120

Zdrada 128

Zwycięstwo 148

Menhiry i Wigwam Śmierci 161

Prawa dawności 177

Wyzwoliny 198